

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (17)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobiecki

Trzymam grube teczki pełne jej listów, aż do przedostatnich już słabo czytelnymi i ostatnich – pisanych przez młodszą koleżankę z Ełku, Elżbietę Lenczewską. Oddzielne archiwalia, które zgromadziłem, to materiały do jej książek opracowywanych przeze mnie i maszynopisy wierszy. Zupełnie inną pozycję stanowią oprawione powieści, opowiadania i opasły, w płóciennej oprawie, maszynopis pamiętników (478 stron). Ze wzruszającą dedykacją: „w dowód przyjaźni i wdzięczności” (Ełk, 14.10.1992).

Gdy mieszkałem w stolicy Podlasia, były okazje do spotkań w Ełku, ale też dwukrotnie pani Irena pojawiła się w Białymstoku. Starałem się niekiedy jej pomagać, w sprawie ratowania wzroku (dzięki koleźce z Akademii Medycznej udało się skierować pisarkę do Warszawy po okulary soczewkowe), ale głównie próbowałem „sprzedawać” tę piękną postać kolegom z prasy i radia. Powstało sporo publikacji, audycji, reportaży; pewnie dobrze byłoby, gdyby w Ełku ktoś naukowo opracował bibliografię prac o poetce, wznowił jej pisma, choćby te ełckie. Udawało mi się także umieszczać jej twórczość w różnych czasopismach, głównie w suwalsko-mazurskich „Krajobrazach”, „Gońcu Kresowym”, „Kurierze Podlaskim”; potem nabrała rozpędu i sama rozsyłała swe utwory. Aż wreszcie przyszła pora na druk różnorodnych książek autorskich. Nie mogła tylko do końca odżałować, że nie ukazały się powieści. Po cichu chyba uważała się za pisarkę, utwory poetyckie być może traktowała jako twórczość zastępczą. To moja wina, że opasłe tomy maszynopisów powieści leżą na półkach biblioteki w Wilkanowie. Zabrakło mi czasu i cierpliwości, gdyż powieści wymagały olbrzymiej pracy redaktorskiej, edytorskiej, a w końcu – rzecz nie ostatnia – pieniędzy. Lecz przede wszystkim nie miałem przekonania do publikowania cikliwej, sentymentalnej literatury z innej epoki. Obawiałem się krytycznych

ocen, które mogłyby być przykre dla autorki. Dziś te maszynopisy (ładnie oprawione przez panią Irenę u introligatora) patrzą na mnie z regału jak niemy wyrzut. Ale i wspomnienie; przypomnienie pisarki.

Tyle lat się znaliśmy, a tak dużo zostało do załatwienia...

Właśnie dlatego, wracając w 2003 roku z wakacji w Suwałkach, zatrzymaliśmy się z żoną w Ełku. Niestety, mieszkanie na ul. Wojska Polskiego 46/14 (adres znałem na pamięć, wszak zapisałem nim setki kopert) było zamknięte. Sąsiadki sugerowały, że może pani Irena poszła na spacer, może do pobliskiego kościoła; mimo poszukiwań nie udało się jej odnaleźć. Zostałem w drzwiach kartkę. Wkrótce przyszło wyjaśnienie, iż pani Irena była wówczas w szpitalu. A potem nagły październikowy telefon od pani Elżbiety Lenczewskiej...

Moje „pretensje do pana Boga”, jak napisałem we wstępie do pamiętników I. Miształ, biorą się stąd, że poznał nas tak późno. Wszak w województwie suwalskim, w „Krajobrazach”, zjawiłem się w 1980 roku i od tej pory często bywałem w Ełku, gdzie mieszkała, ba, pamiętam nawet regularne odwiedziny w księgarni, nad którą znajdowało się mieszkanie pani Ireny. Ale nasze drogi się nie przecięły. Dopiero wyprowadzka do Białegostoku spowodowała poznanie Ireny Miształ – najpierw listowne, potem osobiste. A wszystko wzięło się z jednego listu i wiersza przysłanego do redakcji nieistniejącej dziś popołudniówki „Kurier Podlaski”. Aż dziw, że tak piękna, subtelna, wręcz idealistyczna postać zaistniała dzięki gazecie typu bulwarowego, choć nie była to bulwarówka w dzisiejszym, brukowym znaczeniu i kształcie. Lecz mniejsza o ten szczegół. Mimo upływu lat wciąż jak dziecko cieszę z odkrycia jednej z najciekawszych, najbardziej fascynujących osobowości, jakie spotkałem w życiu. Również z jej książek, w wydaniu których „maczałem ręce”, ponadto z udanego „wypchnięcia” pisarki z zacisza blokowego M2 w świat literatury.

Teraz bardzo bym chciał, żeby Ełk jej nie zapomnieli! Wystąpiłem oficjalnie z pismem do władz miasta o nadanie jakiejś ulicy imienia Ireny Miształ. Zgłosiłem też dyrektorowi centrum kultury gotowość opracowania regulaminu ogólnopolskiego konkursu na małą formę literacką, konkursu, który nosiłby jej imię i duchowy patronat. Liczę, że to zostanie kiedyś wprowadzone w życie i jestem gotów o to walczyć.

Poprosiłem Elżbietę Lenczewską, przez ostatnie lata i dni opiekunkę Ireny Miształ, o dokładny zapis ostatnich chwil pisarki. Oto on z moim retuszem.

Po przebytych 19 lipca 2003 roku udarze mózgu i pobycie przez 11 dni w szpitalu, próbowałem nakłonić ordynatora oddziału wewnętrznego do położenia Irenki na okres trzech miesięcy na oddziale pielęgnacyjno-opiekuńczym. Obawiałem się bowiem, czy będę w stanie zaopiekować się chorą całodobowo, a takiej opieki już wymagała. Ordynator stanowczo odradził mi, twierdząc, że w tym

wieku człowiek czuje się najlepiej w swoich czterech ścianach, wśród swoich sprzętów, przeżyć, wspomnień. Irenka też nie wyrażała chęci pozostania w szpitalu, chciała wrócić do domu. Tak się stało.

Postanowiłam więc, choć wielu moich znajomych obawiało się i odradzało, opiekować się Irenką, na jak długo mi siły pozwolą. Do pomocy zwerbowałam znajomą, bardzo dobrą, uczciwą, oddaną panią Longinę Stępińską, której córka była przez kilka lat moją uczennicą, a niedawno skończyła studia i jest lekarzem. Obie mieszkamy w blokach obok Irenki, co było dużym ułatwieniem w sprawowaniu opieki. Pani Longina w godz. 5.00-8.00 i 13.00-15.00, ja od 8.00-13.00 i od 15.00 do późnych godzin nocnych, dopóki Irenka dobrze nie zasnęła.

Po powrocie ze szpitala już nigdzie nie wychodziła. Po mieszkaniu poruszała się sama trzymając się mebli. Miała ogromny lęk przed przewróceniem się. Osłabione były też wyraźnie funkcje umysłowe, zwłaszcza pamięć i orientacja; dzień mieszał się z nocą, przeszłość z teraźniejszością. Nadal chętnie przyjmowała gości, ale po krótkiej z nimi rozmowie zasypiała. Ostatnio prawie ciągle spała.

Na dwa tygodnie przed śmiercią odwiedził ją Józef Maskalon z żoną; jej przybrany syn, uczeń tajnej szkółki w Długopolu. Obecnie mieszka w Zabrzcu. Wspomnieniem nie było końca. Pan Józef był synem sołtysa w Długopolu, który pomagał Irence organizować tajną szkołkę podczas okupacji hitlerowskiej. Zginął z rąk Sowietów w nieznanym okolicznościach. Swojego ucznia nazywała „skowronczkiem”, on swoją „ukochaną mamusią”. Tydzień przed śmiercią przyjechał do Irenki Tadeusz Dawidej z Augustowa. Bardzo się lubili, mieli pokrewne poetyckie dusze.

Od października następowało stopniowo większe osłabienie, zmniejszenie apetytu, niechęć do chodzenia, ciągała chęć spania. To ostatnie bardzo mnie niepokoiło. Lekarka przepisała wzmacniające zastrzyki, witaminy. Powiedziałam lekarce, że boję się o Irenkę, że mi kiedyś tak zaśnie na zawsze. – To byłaby piękna śmierć – odpowiedziała pani doktor.

I nadszedł ten ostatni dzień – wtorek, 21 października. Wszystko było jak zawsze: poranna toaleta, ubieranie się, ścielenie tapczanu, śniadanie z panią Longiną. Przyszedłam o 8.00, zmieniłam panią Longiną i zostałam z Irenką. Słuchałyśmy radia (telewizji nie oglądała ze względu na słaby wzrok), ale ponieważ zasypiała, próbowałam zainteresować ją, czytając głośno fragmenty opowiadania o ojcu Rafale Kalinowskim z miesięcznika „Arka”. Skupienie uwagi trwało jednak krótko. Znowu spała. Około południa obudziła się i powiedziała: – Wiesz, Elu, ja już chyba będę umierać. Ja na to:

– Irenko, co ty opowiadasz, zjemy dobrą zupkę, ugotowałam taką, jak lubisz. Wstała z tapczanu, usiadła przy stole, spojrzała na talerze i rzekła: – Dłaczego znowu tak mało sobie nalałaś, a mnie tak dużo, nie będziesz miała siły się mną opiekować. Tak jak zawsze była gościnną i myślała o innych. Próbowwała jeść, ale łyżka wymykała się jej z ręki. Nakarmiłam ją. – Dobra zupa – stwierdziła.

cdn.